Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 174 (Rok XI, Nr 8) 15 kwietnia 1951 Cena (Price) 1/6

ROZDŹWIĘKI I NADZIEJE

WIADOMOŚCI o zagadkowych koncentracjach sił lądowych i lotniczych na granicy mandżursko-koreańskiej oraz ogłoszony przez prasę list gen. MacArthura, zalecający „wypuszczenie“ wojsk Czian-Kai-szeka z Formozy na kontynent chiński, — wywołały znów na Zachodzie stan napięcia i oczekiwania na jakiś sensacyjny zwrot w sytuacji. Napięcia tego rozładować nie mogło oświadczenie prez. Trumana, że „niebezpieczeństwo wybuchu Trzeciej Wojny Światowej jest dziś takie samo, jakie było w ciągu ostatnich czterech lat“.

Nie należy jednak przesadzać znaczenia tych doniesień i oświadczeń. Sposób ich podania i gorąca dyskusja, jaką wywołały po obu stronach Atlantyku i Pacyfiku, nie wydaje się zapowiadać bliskiego wybuchu nowej wojny światowej. Perspektywa tej wojny była niewątpliwie bliższa, gdy wojska alianckie, wśród których 90% stanowią Amerykanie, cofały się raz po razie w Korei pod naporem „ochotników“ chińskich i gdy sytuacja wojskowa w tym nieszczęśliwym kraju wyglądała dla sprzymierzonych bardzo nieróżowo. Porażki te czy nawet przejściowe klęski, wywołały w wielu odłamach społeczeństwa amerykańskiego — bodaj po raz pierwszy od r. 1945 na taką skalę — odruch zniecierpliwienia, poczucie, że przecież raz trzeba skończyć z tym ogniskiem ciągłych niepokojów, jakie stanowi Rosja Sowiecka, że trzeba zdusić zło w samym jego ośrodku. W tym kierunku — bez mówienia zresztą o „wojnie prewencyjnej“ — poszła kampania, prowadzona ostatnio przez zespół prasowy Henry Luce'a z jego szeroko rozpowszechnionymi tygodnikami „Time“ i „Life“.

Tymczasem jednak położenie w Korei uległo znacznej, choć może jeszcze nie ostatecznej zmianie; sprzymierzeni, przeszedłszy do kontrofensywy, wyparli wojska komunistyczne z okupowanych obszarów Korei Południowej, łącznie z tym rumowiskiem jakie stanowi dziś stolica kraju Seul, i dotarli do historycznego już dzisiaj 38 równoleżnika. Sukces ten ma przy tym, jak się zdaje, podstawy solidniejsze niż przejściowe powodzenia ofensyw poprzednich; widać znaleziono wreszcie sposoby na fanatyczną furię komunistów chińskich.

Równocześnie coraz szybciej rozkręca się maszyna zbrojeniowa w samych Stanach Zjednoczonych, którą na serio puszczono w ruch dopiero od jakiegoś roku. Dokonywa się nowe przestawianie przemysłu amerykańskiego na potrzeby wojskowe, podobnie jak mutatis mutandis stało się to po Pearl Harbour.

W tych warunkach — jeśli można sądzić z różnych objawów — w stolicach Zachodu obowiązuje nadal polityka „containment“, tj. powstrzymywania Sowietów przez budowanie odpowiedniej przeciwwagi dla ich siły i dążeń ekspansywnych. Coraz wyraźniej jednak zarysowuje się różnica w praktycznym pojmowaniu tej polityki między Ameryką a krajami Europy Zachodniej, z Wielką Brytanią włącznie. Są niewątpliwie politycy amerykańscy, którzy żywią nadzieję, że uzyskanie przez Zachód stopniowej przewagi pozwoli nie tylko na powstrzymanie ekspansji sowieckiej, ale z czasem i na wypchnięcie komunistycznego imperium z pewnych przynajmniej jego pozycji, — bez uciekania się do wojny, a drogą samej potęgującej presji. W Londynie, Paryżu, w Niemczech zachodnich — nie mówiąc już o New Delhi — takie „dynamiczne“ pojmowanie polityki „containment“ budzi obawy, jeśli nawet nie popłoch; wydaje się tu dominować troska, by Rosji do wojny nie sprowokować, i wyraźna jest skłonność do pogodzenia się na czas dłuższy z obecnym podziałem świata, byle tylko za tę cenę uzyskać spokój od strony Sowietów — spokój jakże zresztą chwiejny i niepewny!

Nie znaczy to oczywiście, by wszyscy bez wyjątku w Europie zachodniej tak myśleli, podobnie jak trudno uważać prezydenta Trumana i sekretarza stanu Achesona za zdecydowanych i konsekwentnych zwolenników polityki „containment“ w jej formie „dynamicznej“. Niemniej z grubsza tak właśnie przedstawiają się różnice, rysujące się w świecie zachodnim w stosunku do Sowietów. Od szeregu miesięcy znajdują one wyraz w rozdźwiękach na temat taktyki, jaką należy stosować wobec Chin komunistycznych. Oliwy do ognia dolał tu wspomniany już list gen. MacArthura oraz wiadomość, że upoważniony on został w razie potrzeby do lotniczego bombardowania baz chińskich w Mandżurii. Posypały się, zwłaszcza w Anglii, protesty, i to nie tylko prasowe, jak świadczy o tym oświadczenie brytyjskiego ministra stanu Kennetha Youngera skierowane przeciw „nieodpowiedzialnym wystąpieniom wysoko postawionych czynników“, co stanowiło oczywiście aluzję do listu MacArthura. Prez. Truman, który w sprawie chińskiej w dość dalekiej mierze, choć nie całkowicie, szedł na rękę sugestiom rządu brytyjskiego, znalazł się w położeniu bardzo kłopotliwym; odwołanie gen. MacArthura utrudnić musi mu pozycję we własnym społeczeństwie, i tak już silnie podkopywaną przez propagandę republikanów. Niemniej, w chwili gdy to piszemy, nadeszła wiadomość, że Truman na krok taki się zdecydował. Odczekać trzeba teraz następstw tej decyzji.

Jedno jest pewne: pozycja Zachodu wobec Sowietów uległa znacznemu

choć może tylko chwilowemu, wzmocnieniu. Nie bardzo się Moskwie udała ani jej propaganda „pokojowa" przeciw „imperializmowi" amerykańskiemu, ani też, jak dotąd, próba pohamowania zbrojeń Zachodu przez wznowienie koncepcji narad „wielkiej czwórki" i klejenia przejściowych kompromisów. Propaganda sowiecka zapisuje skwapliwie na swe konto ostatnie strajki we Francji, wiadomo jednak, że nie komuniści byli ich głównym motorem. Ręka Moskwy widoczna była bardziej w strajkach i manifestacjach barcelońskich, stłumionych zresztą bez większych trudności przez rząd gen. Franco. Na ogół jednak jawne czy tajne partie komunistyczne w krajach Zachodu, poważnie osłabione w ciągu ostatnich paru lat, wmanewrowały się w stan wyraźnego, choć może tylko tymczasowego, impasu.

Za to pewne koła polityczne w Ameryce coraz bardziej zdają się być zaabsorbowane ideą, by bić Sowiety ich własną bronią: dywersji, i przywiązują wielką wagę do ruchów przeciwsowieckich nie tylko w tzw. krajach satelickich, ale i w samym państwie sowieckim. Harold Stassen, jeden z wybitnych przywódców Partii Republikańskiej i były kandydat na prezydenta, wyraził nawet świeżo pogląd, że imperium sowieckie rozsadzone być może bez wojny, od wewnątrz, o ile Ameryka dopomoże nurtującym je ruchom odśrodkowym i przeciwkomunistycznym. Zdaniem Stassena proces walenia się państwa sowieckiego nawet w tym wypadku potrwać może lat 10 czy 20, ale jest on nieuchronny.

Nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście Stassen przypuszcza, iż ruchy przeciwkomunistyczne, za „żelazną kurtyną" i w samej Rosji, przybrać będą mogły charakter poważny, jeśli ich przywódcy nie będą mieli nadziei na całkiem konkretną i decydującą w ciągu krótkiego czasu pomoc właśnie z zewnątrz?

Wydaje nam się, że zarówno nadzieje na dezintegrację czerwonego imperium od wewnątrz, jak polityka „containment" — czy to w jej odmianie „dynamicznej", czy też tym bardziej „statycznej" — nie opierają się na podstawach zbyt mocnych.

WOJSKO ZACIĘŻNE

Amerykanie w swojej zonie okupacyjnej w Niemczech rozpoczęli wśród wysiedleńców zaciąg ochotników do wojska o charakterze legii cudzoziemskiej. Oczywiście dla sprawy polskiej nie ma najmniejszej korzyści z wstępowania Polaków do tego rodzaju formacji. Przeciwnie, nawet wynika z tego pośrednia szkoda dla polskiej polityki wojskowej w przyszłości, a dla Amerykanów korzyść z Polaka w legii cudzoziemskiej jest nieporównanie mniejsza niż byłaby z tego Polaka w wojsku polskim po stronie Zachodu. Należy mieć nadzieję, że bardzo niewielu znajdzie się Polaków w Niemczech, których beznadziejność położenia osobistego skłoni do zaciągnięcia się w obce szeregi.

KROK NAPRZÓD

Dział krajowy Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej opracował w połowie lutego obszerny memoriał w sprawie audycji polskich nadawanych przez radiostacje amerykańskie do kraju. Memoriał w szczególności wskazywał na niebezpieczeństwo przemilczania sprawy ziem zachodnich i ziem wschodnich, które niezwykle ułatwia pracę komunistom w przekonywaniu Polaków, że Ameryka chce oddać ziemie zachodnie Niemcom a ziemie wschodnie pozostawić Rosji.

Memoriał ten doręczony w drugiej połowie lutego właściwym czynnikom, odniósł pewien skutek.

17 marca „Głos Ameryki" nadał 10-minutowe słuchowisko poświęcone 30 rocznicy podpisania traktatu ryskiego. „Głos Ameryki" nie dał żadnych własnych komentarzy, lecz ograniczył się do pozytywnych cytat, opartych głównie o wypowiedzi samych przedstawicieli sowieckich.

18 marca radio „Wolnej Europy" nadało słuchowisko o Lwowie. Słuchowisko miało charakter literacki, lecz wyraźnie podkreślało polskość Lwowa a nawet zapowiadało, że miasto to „wróci do Macierzy".

22 marca radio „Wolnej Europy" udzieliło odpowiedzi na list pisany z Polski w sprawie braku wyraźnego stanowiska Ameryki co do granic Polski. Zastrzegłszy się, że „Wolna Europa" jest instytucją prywatną, speaker przyznał, że Ameryka zgodziła się na tzw. linię Curzona, ale wobec złamania przez Rosję zobowiązań układu jałtańskiego Ameryka jest zwolniona z zobowiązań wynikających z umowy jałtańskiej, wobec czego „nic nie stoi na przeszkodzie, by rząd Stanów Zjednoczonych w odpowiedniej chwili wystąpił z żądaniami przesunięcia obecnej granicy polsko-sowieckiej na wschód". W sprawie granic zachodnich zaznaczono jedynie, że Ameryka docenia niebezpieczeństwo odrodzenia się niemieckiego imperializmu i że nie dopuści nigdy do jednostronnego załatwienia sprawy przez Niemcy.

Powyższe oświadczenia radiowe są oczywiście z naszego punktu widzenia niewystarczające. Stanowią one jednak niewątpliwy postęp w stosunku do poprzedniego dwuznacznego milczenia. W spowodowaniu tego pierwszego, drobnego, ale znaczącego kroku, udział Rady Politycznej jest niewątpliwy.

SESJA RADY POLITYCZNEJ

W dniach 14 i 15 kwietnia odbywa się w Londynie kwartalna sesja Rady Politycznej. Pierwszy dzień obrad, w sali Denison House w sobotę, ma charakter publiczny. Na porządku dziennym znajdują się sprawozdania Wydziału Wykonawczego oraz Komisji Rady.

Sprawozdanie z przebiegu obrad podamy w następnym numerze „Myśli Polskiej".

STEFAN ŁOCHTIN

POLITYCY I WOJSKOWI

MIĘDZY zagadnieniami wysuniętymi przez życie polskie w wieku dwudziestym jest jedno bardzo drażliwe, ze względu na uczucia, które wzbudza, a przypominające się stale od kilkudziesięciu lat. Jest to sprawa stosunku spraw politycznych do wojska i jego działalności, i stosunku czynników wojskowych do polityki. Jasna i zrozumiała w narodach cieszących się od dawna nieprzerwanym życiem państwowym, sprawa ta ciągle jest dla wielu Polaków zagadnieniem teoretycznym, które w praktyce doczekało się kilku, nie zawsze najrozsądniejszych interpretacji.

Jeszcze teraz na emigracji dyskutuje się ją i nie brak ludzi widzących w siłach zbrojnych czynnik polityki wewnętrznej, zapowiadających wystąpienie wojska w przyszłej Polsce niepodległej, jako siły „wprowadzającej porządek, gdy się nie uda ustalenie jakiegoś rozsądnego systemu politycznego" itd. Pomijając fakt, że na ogół opinie takie wypowiadają ludzie marzący po prostu o wykorzystaniu siły materialnej wojska do celów wewnętrznopolitycznych, trzeba niestety stwierdzić, że wśród wielu uczciwie myślących Polaków panuje w tej kwestii pewien zamęt umysłowy.

* * *

Przykłady czerpane z wydarzeń otaczającego nas świata wskazują, że istnieje i musi istnieć wyraźne podporządkowanie spraw wojny i wojska koniecznościom politycznym, a co najważniejsze, że każda z tych dziedzin musi być zarządzana przez współpracujących, ale niewymienialnych wzajemnie specjalistów.

Ulubionym przykładem zwolenników „hegemonii wojska" jest ostatnio wojna koreańska i liczne zatargi gen. MacArthura z jego politycznymi przełożonymi. Mówi się w skrócie: „Politycy nie umieją określić celów wojny, wobec tego słusznie czyni to dowódca wojsk". W zdaniu tym zaś zawiera się tylko ocena dramatycznej sytuacji a nie słuszny wniosek. Bo MacArthur powinien mieć pod ręką takie instrukcje polityczne, które by ułatwiły i pozwoliły osiągnąć zwycięstwo, albo które by mu niedwuznacznie mówiły, co będzie uważane za zwycięstwo. Gdy tych instrukcji nie ma, jest on w trudnej sytuacji i zamiast myśleć o działaniach, zastanawia się nad rzeczami normalnie nie wchodzącymi w jego kompetencje. Przykład świadczy o konkretnych błędach konkretnych polityków, nie mówi zaś o wojskowo-politycznym systemie amerykańskim (a raczej systemie UN, w którym jak wiadomo zgody poglądów nie ma i zapewne nie będzie).

Wódz naczelny w Korei nie ma danych do oceniania całkowitej sytuacji, bo nie on rządzi zasobami gospodarczymi i ludzkimi Stanów Zjednoczonych, nie on ma wgląd w stosunki nawet swego kraju z resztą świata, a w szczególności z Sowietami. Dlatego fakt, że zabiera głos w sprawach „cudzego resortu", przemawia na niekorzyść osób, których zadaniem było mówić, a Mac Arthur jest usprawiedliwiony sytuacją, aczkolwiek nigdzie nie ma przekonania, że postępowanie jego jest normalne i właściwe. Przeciwnie widać, że jest nienormalne i wyjątkowe.

* * *

Bardzo pouczające w tych kwestiach były wydarzenia w Niemczech w okresie panowania Hitlera. W czasie tym polityka zapanowała nad wojskiem, podporządkowała je sobie całkowicie tak dalece, że polityk występujący jako wódz naczelny wydawał bezpośrednie rozkazy nie tylko grupom armii ale nawet korpusom i dywizjom *).

Od chwili dojścia do władzy Hitler był w walce z generalicją niemiecką. Widząc niebezpieczeństwo w politycznych aspiracjach gen. Schleichera, postanowił całą maszynę wojską podporządkować sobie i swej ideologii.

Wprawdzie od czasów von Seekta, dowódcy niemieccy byli wychowywani w duchu neutralności wobec spraw polityki wewnętrznej, tym niemniej jednak tradycja starego cesarskiego sztabu głównego skłaniała ich do szukania wpływu decydującego na terenie polityki zagranicznej.

I na tym tle rozegrała się interesująca batalia pomiędzy Hitlerem-politykiem a generałami.

Oto niektóre jej momenty:

W 1935 r. Hitler decyduje się na przywrócenie garnizonów wojskowych w zdemilitaryzowanej strefie nadreńskiej. Jego doradcy wojskowi doradzają mu ostrożność i elastyczność działania. Hitler mówi, że poważnej reakcji nie będzie, ale wyraźnie nie jest pewien. Jego ocena sytuacji politycznej zwycięża.

W 1938 r. w chwili kryzysu sudeckiego, świat pozornie znajduje się w przededniu wojny. Hitler jest przekonany, że Anglia i Francja Sudetów nie będą bronić. Generałowie wcale tego nie są pewni. Brauchitch zwołuje na odprawę najważniejszych dowódców i odczytuje im memoriał zredagowany przez ówczesnego szefa sztabu von Becka. Memoriał przestrzega przed ryzykiem wybuchu wojny na tle „sprawy tak drobnej jak Sudety". Generałowie zgadzają się z treścią memoriału, Brauchitch wspierany przez Haldera wyraźnie krytykuje ryzykancką politykę Hitlera. Hitler upiera się, twierdzi, że wojny nie będzie. Teza jego wygrywa — następuje Monachium.

To zwycięstwo rozzuchwala kanclerza. Ufny w swe, autentyczne zresztą zdolności przewidywania i oceny w dziedzinie walki psychologicznej (a więc zdolności bardzo polityczne) nieufny wobec zawodowych wojskowych ze starej szkoły, umiejący zręcznie rozgrywać ich osobiste wady i zalety, zbrojny w tytuł naczelnego wodza zaczyna rozwijać coraz więcej inicjatywy w dziedzinie ściśle technicznej, bo dyspozycji ruchami wojsk w wybuchającej wkrótce wojnie.

I gdy praktycznie grał o nadrzędność polityki nad wojskiem i miał zrozumiałe i uzasadnione sukcesy — to wkroczenie w dziedzinę obcą mu, w której mógł się powoływać tylko na intuicję a nie na znawstwo rzeczy, przynosi mu więcej klęsk niż zwycięstw i przyczynia się do ostatecznej zguby.

I jeszcze gdy występował w roli (właściwej premierom angielskim czy prezydentom Stanów Zjednoczonych) protektora rozwoju nowych środków technicznych dla wojska, przyczyniał się do zwycięstw. Gdy umożliwiał zdobycie wpływów i roli młodszym i inteligentniejszym oficerom, zwalczanym przez tradycyjną hierarchię — jeszcze wzmacniał wojsko i Niemcy.

Gdy jednak zaczął decydować o planach kampanii i poszczególnych nawet bitew — logika stosunku wojska do polityki obróciła się przeciw niemu.

Oto uparł się przy planie ofensywy jesiennej na Moskwę, uparł się w dążeniu do zdobycia Stalingradu za wszelką cenę, zabronił skracania frontów, wszelkich wycofań taktycznych, zakazał elastyczności obrony, doprowadził szczegółowymi rozkazami (ginąć tam, gdzie stoją — nie ruszyć się) do takiego strachu generałów, że bali się „przesunąć wartownika spod okna do drzwi".

Wypowiedzi Rundstedta, Heinrici, Guderiana, Thomy, Manteuffla i innych, zebrane troskliwie przez brygadiera Liddle Harta w tym właśnie stosunku Hitlera do kampanii rosyjskiej wskazują główną przyczynę klęski.

* * *

Ostatnie słowo w historii okresu Hitlera w Niemczech nie będzie zapewne prędko wypowiedziane. Te czy inne szczegóły obrazu jeszcze mogą zmienić kształt czy kolor, obraz ogólny jest jednak jasny.

W obliczu dynamicznych sił politycznych wojsko nie mogło rządzić Niemcami. (Co za pozorny paradoks, gdy się zważy, że Niemcy to jeden z najbardziej militarystycznych narodów świata.) To było zapewne głównym elementem klęski gen. Schleichera.

Polityk jednak nie mógł być dowódcą wojska. Fakt, że za wszelką cenę usiłował nim zostać walnie pomógł do zwycięstwa aliantów.

* * *

Każda działalność wymaga przygotowania i studiów, odpowiedniej postawy psychicznej i odpowiednich zdolności.

Postawy psychiczne żołnierza i po-

---

*) Fakty i ich oceny przytaczam za książką Liddle Harta, znanego angielskiego teoretyka wojskowego, pt. „The Other Side of the Hill".

lityka są różne, choć służą tym samym celom. Studia i przygotowanie, a jeszcze bardziej praktyczna działalność tę różnicę pogłębiają.

Jaskrawo to widać na prostych przykładach życiowych.

Dwaj politycy współpracują z sobą, gdy ich świadomość jest podporządkowana jednej koncepcji, współpraca dwóch wojskowych wynika z podporządkowania ich woli decyzjom innej jednolitej i niepodzielnej woli.

Polityk z natury rzeczy przykłada wielką wagę do zagadnień psychologicznych, nieraz słusznie przypisuje im znaczenie dominujące; wojskowy musi się liczyć z faktami psychologicznymi, ale nie może ich uważać za dominujące.

Wojskowy tworzy siłę, by użyć ją do łamania przeszkód — polityk bardzo często przeszkody obchodzi, a gdy buduje (i jest dobrym politykiem) to zwykle chodzi mu o to, by stworzona siła była podstawą do dalszego budowania. Te niekompletne zresztą i bardzo ogólne różnice, nie zawsze wyraźne w życiu, wskazują, jak trudno może być w pewnych wypadkach pogodzić i sharmonizować oba typy.

Tym niemniej poza widoczną hierarchią zadań istnieje konieczność harmonii działania. Osiągnąć ją można nie przez ustawianie wojskowych przeciw politykom, ani odwrotnie, ale przez współpracę i równoległe zdążanie ku tym samym celom.

(W chwili pisania artykułu gen. MacArthur pozostawał na swym stanowisku; odwołanie go nie zmienia myśli artykułu. Red.)

MICHAŁ PORADOWSKI

PERONIZM

Buenos Aires, w kwietniu

GDYBY dyktatura generała Perona należała do tego rodzaju dyktatur co dyktatura gen. Odria w Peru, czy niedawna (a być może i niedaleka) dyktatura gen. Ibaneza w Chile czy tym podobne, to może i nie warto byłoby zwracać na nią szczególnej uwagi. Nie znaczy to wcale, że dyktatura gen. Odria nie jest zjawiskiem politycznym interesującym i w dzisiejszym układzie stosunków politycznych świata doniosłym. Bynajmniej. Gen. Odria, przez zlikwidowanie rewolucji komunistycznej, prowadzonej przez Aprę, i przez swoją zdecydowaną postawę antykomunistyczną i narodową, rozpoczął nowy okres w dziejach Peru. Są to jednak tylko rządy „silnej ręki", prowadzone w imię peruwiańskich interesów narodowych, ale i nic więcej. Również i gen. Ibanez, zwolennik raczej skrajnej lewicy (ale nie marksizmu), zasługuje na właściwą ocenę, jako człowiek, który już raz uporządkował życie społeczne Chile i ponownie dąży, na drodze legalnych wyborów, do władzy, jaką niewątpliwie sprawowałby znowu po dyktatorsku. Można by podobne przykłady mnożyć. Ale jest istotna różnica między „dyktaturami generałów" w poszczególnych państwach Ameryki Południowej i rządami gen. Perona. Różnica ta polega na tym, że bez względu na czas trwania i zakres rządów żadna z tych dyktatur nie ma ambicji, aby stać się jakimś „izmem". Nie ma i nie będzie mowy o „odryzmie" czy o „ibanizmie", natomiast j e s t zjawisko socjologiczne „peronizmu". I właśnie dlatego, że istnieje peronizm i jako doktryna i jako ruch społeczno-gospodarczo-polityczny, czyli jako konkretne, żywe i dynamiczne zjawisko socjologiczne, to, co się dzieje dzisiaj w Argentynie, musi interesować każdego polityka, a przede wszystkim polityków polskich. Przecież my, Polacy, jesteśmy szczególnej zainteresowani rozwojem tych sił, które mogłyby wpłynąć na zmianę obecnego układu stosunków politycznych.

Pamiętać też trzeba, że stanowisko Ameryki Południowej staje się coraz donioślejsze, zarówno w obecnych wydarzeniach jak i na wypadek trzeciej wojny światowej, a również ze względu na przyszłość cywilizacji europejskiej. Na taką zaś czy inną postawę Ameryki Południowej przemożny wpływ wywrze przede wszystkim Argentyna. Od tego jaka jest Argentyna zależy w dużej mierze jaka jest cała Ameryka Południowa. Argentyna bowiem — przez swoje położenie geopolityczne, przez swoje bogactwa naturalne, przez rozmiary terytorium państwowego, a przede wszystkim przez swoją ludność, niemal wyłącznie europejską i katolicką — ma wszelkie dane, aby zająć miejsce przodujące wśród państw Ameryki Południowej.

I właśnie z tego znakomicie sobie zdaje sprawę gen. Peron i stąd płyną jego ogromne ambicje. Niniejszy artykuł pragnie przedstawić pokrótce te ambicje, zdać z nich sprawozdanie, czyli dać krótką, publicystyczną analizę socjologiczną peronizmu.

Peronizm należy zaliczyć do tego typu zjawisk socjologicznych co hitleryzm, stalinizm itp. Przez peronizm przeto, w niniejszym artykule, rozumie się c a ł o ś ć omawianego zjawiska społecznego, na które składają się: rozstrzygający i determinujący wpływ osobistości twórcy i przywódcy ruchu, ruchu tego ideologia, doktryna, poszczególne teorie społeczne i gospodarcze, przeobrażenia ogólnokulturalne społeczeństw spowodowane tym ruchem, ruchu tego ujęcie organizacyjne, jego dynamizm i ambicje. Materiał do zbadania jest więc dość obfity, niesposób przeto zanalizować go w zbyt wielkim skrócie.

Nie ulega wątpliwości, że gen. Peron jest osobistością bardzo wybitną. Pochodzi z warstwy społecznie średniej. Wybrał zawód wojskowego. Ukończył szkołę wojenną i jako attaché wojskowy, przydzielany do różnych placówek dyplomatycznych, miał możność wiele podróżować i studiować, poznać świat i przyjrzeć się stosunkom społecznym i politycznym wielu państw. W tym charakterze przebywał trzy lata we Włoszech i w Niemczech, w okresie apogeum hitleryzmu i faszyzmu, którymi to ruchami został oczarowany. Koledzy jego z tych czasów opowiadają, że pobyt w Europie wykorzystał dla dokładnych i poważnych studiów nad faszyzmem i hitleryzmem. Peron pisze sporo, mówi bardzo często i dużo. Lubi dawać wykłady, wygłaszać konferencje. Z tego co napisał, a zwłaszcza z jego wykładów na kursach dla przywódców partii peronistycznej widać, że ma dość głębokie i wszechstronne wykształcenie, dużą znajomość doktryn politycznych dawnych i współczesnych, a przede wszystkim historii ruchów rewolucyjnych. Pod tym względem (jak i pod innymi) przypomina Lenina. Jest też człowiekiem bardzo pracowitym, z pasją oddanym swemu dziełu: peronizmowi. Niestety, cechuje go niezmierna pycha i żądza władzy. Robi wrażenie człowieka opanowanego przez „libido dominandi", tę najwstrętniejszą i najniebezpieczniejszą chorobę u panujących.

Do władzy doszedł na drodze „legalnego" przewrotu. Był to jakby niekrwawy „zamach majowy". Peron należał do grupy wojskowych planujących spisek przeciwko ówczesnemu rządowi. Spisek ten wykryto, a wśród aresztowanych znalazł się też i Peron. Rząd jednak nie zdołał opanować sytuacji i uległ presji wojska, które zażądało uwolnienia aresztowanych. Peron został wybrany przez wojsko na prezydenta państwa i wybór ten przedstawiono do aprobaty przerażonemu parlamentowi, który skwapliwie go zatwierdził. W tym czasie Peron był człowiekiem mało znanym i uchodził raczej za przedstawiciela sfer wojskowych. Raz znalazłszy się u władzy, Peron stopniowo wyemancypował się spod opieki grupy polityczno-wojskowej, która go do rządu doprowadziła, a w poszukiwaniu oparcia zwrócił się do warstw robotniczych i chłopskich, demagogicznie ogłaszając się opiekunem najnieszczęśliwszych i wyzyskiwanych. Od początku też ruch jego nabrał cech rewolucyjnych, opierając się na nienawiści społecznej i walce klasowej. To musiało doprowadzić Perona do walki z komunistami jako z tymi, którzy dzierżyli w swych rękach monopol na eksploatację krzywdy społecznej warstw robotniczych. Walka z komunistami (jako z konkurentami), zaprowadzenie ładu w państwie, obrona narodowych interesów argentyńskich na forum międzynarodowym, głoszenie szlachetnej ideologii — wszystko to złożyło się na to, że Pe-

ron zbliżył się do sfer narodowych i katolickich i że wyrósł na „wodza narodu". Niewątpliwie jednak swoją dzisiejszą pozycję zawdzięcza Peron przede wszystkim swoim wybitnym zdolnościom i faktowi, iż jest on człowiekiem władzy i politykiem dużej klasy.

Peron jest świadomym twórcą tzw. peronizmu. Fakt ten dowodzi, że Peron ma wielkie ambicje polityczne. Nie chodzi mu bowiem tylko o to, aby utrzymać się u władzy, aby ponownie zostać „wybranym" na prezydenta republiki argentyńskiej (wybory odbędą się w r. 1952); chodzi mu o coś innego, a mianowicie o stworzenie nie tylko nowej Argentyny, ale stworzenie nowego ładu, nowej ideologii, która by z Argentyny rozeszła się na całą Amerykę Południową i nawet na cały świat. Nie są to jakieś ambicje niepoważne, przeciwnie Peron z całą świadomością, spokojnie, metodycznie dąży do urzeczywistnienia swych zamiarów. I właśnie ze względu na ten aspekt „transcedentalny" należy się peronizmem interesować, bo nie jest to tylko zagadnienie wewnętrznoargentyńskie, tak jak stalinizm nie jest zagadnieniem tylko wewnętrznorosyjskim.

Słowa „peronizm" i „peroniści" — jako nazwa ideologii, doktryny i ruchu oraz ich zwolenników — pochodzą od samego Perona. On pierwszy ich użył i stale używa. Bo Peron jest nie tylko twórcą peronizmu, ale też i jego pierwszym „wyznawcą" i „apostołem" (są to wyrażenia Perona). Peron wychodzi z założenia, że zarówno kapitalizm jak i komunizm (pojęte przede wszystkim jako światopoglądy) są nieszczęściem ludzkości, stąd należy stworzyć nową cywilizację, godną człowieka współczesnego, w której każdy człowiek cieszyłby się maksimum dobrobytu i szczęścia. Drogą do tego celu ma być głoszenie i urzeczywistnianie doktryny justisjalizmu (sprawiedliwości), a etapem jest stworzenie nowej Argentyny, jako wzoru „państwa sprawiedliwości" i jako ogniska nowej cywilizacji. Oto, pokrótce, program peronizmu.

Przy realizacji tego programu, peronizm wykorzystuje dorobek doświadczalny ruchów, które, zdaniem Perona, nie zdały egzaminu, ale mimo to, jako usiłowania współczesnego człowieka na drodze do uzdrowienia cywilizacji, zrobiły wiele dobrego. Przy bliższej obserwacji, widać jak na dłoni, że Peron w pełni wykorzystuje doświadczenia Mussoliniego, Hitlera i Stalina. Sam Peron lubi mawiać: naśladuję Mussoliniego, unikając jego błędów. Ale wydaje się, że Peron więcej niż Mussoliniego, czy Hitlera, naśladuje Stalina. Zresztą, słowo „naśladuje" nie jest tutaj odpowiednie. Peron nie naśladuje, ale wykorzystuje cudze doświadczenia, uczy się z cudzych doświadczeń. Jak Lenin i Trocki drobiazgowo i dokładnie studiowali doświadczenia rewolucjonistów z różnych okresów dziejów, a zwłaszcza z czasów tzw. komuny paryskiej, aby wypracować własną, jak najskuteczniejszą metodę robienia rewolucji, czyli niszczenia cywilizacji, podobnie Peron studiuje metody pracy politycznej swych poprzedników i tą drogą tworzy własny system, własną szkołę polityczną. I chociaż peronizm jest ruchem dopiero początkującym, to jednak dorobek jego, w tej dziedzinie, jest już znaczny i cenny.

W peronistycznej konstytucji federacyjnej republiki argentyńskiej spotyka się następujący program peronizmu: stworzyć z Argentyny „państwo społecznie sprawiedliwe, gospodarczo niezależne, politycznie suwerenne".

Nowa Argentyna, w myśl konstytucji peronistycznej, ma być przede wszystkim państwem społecznie sprawiedliwym. Przyznać trzeba, że peronizm, jak dotąd, zrobił bardzo dużo dla polepszenia losu tzw. klasy pracującej. Peron twierdzi, że nie on rządzi Argentyną, tylko robotnicy, a on jest tylko wykonawcą woli ludu. Jest w tym wiele demagogii, ale i sporo prawdy. Demagogią jest, że „lud" rządzi Argentyną. Robotnik, czy to jako jednostka czy to jako grupa zorganizowana (związek zawodowy, syndykat itp.) czy to jako masa — nie ma nic do powiedzenia. Każdemu wiadomo, że rządzi wyłącznie Peron, i to rządzi po dyktatorsku, według swego widzi mi się. Ale Peron nie darmo jest uczniem Lenina i Stalina i umie doskonale odgrywać rolę wykonawcy woli ludu. W praktyce wygląda to tak, że gdy zajdzie jakaś poważna sprawa sporna z robotnikami (np. strajk na większą skalę), Peron przyjmuje delegacje robotników, pertraktuje z nią, wysłuchuje jej żądań, a później jej wolę spełnia. Pisze się o tym wiele w gazetach, opis wydarzeń bogato ilustrując odpowiednimi fotografiami. Ale w rzeczywistości, tą „delegacją" jest grupka peronistów, do spełnienia swej roli odpowiednio przygotowana, aby wszystko zostało odegrane jak należy. Pomijając te metody demagogiczne, trzeba stwierdzić, że położenie gospodarcze warstwy robotniczej w Argentynie za rządów Perona znacznie się polepszyło. Peron zrobił bardzo dużo np. w dziedzinie mieszkaniowej, budując setki domów robotniczych z ogrodami. Również i w dziedzinie dostarczenia robotnikom możliwości godziwej i zdrowej rozrywki dokonano wiele. Wybudowano dziesiątki wspaniałych balneariów (kąpielisk a z ogrodami, parkami i boiskami sportowymi), stadionów, świetlic, kin, bibliotek itp., wzorując się w tym przedmiocie na faszystowskim „dopo lavoro". Zdrowy jest np. pomysł zakładania bibliotek publicznych w parkach miejskich. Wielkie znaczenie praktyczne mają jadłodajnie robotnicze w centrach portowych i fabrycznych. Szczególnie szeroko i wszechstronnie prowadzona jest akcja opieki nad dzieckiem. Nowe szkoły i przedszkola, ogródki dziecięce, kolonie letnie dla dzieci robotników, letniska nad morzem, wszystko to pod hasłem Perona: „W nowej Argentynie jedyną klasą uprzywilejowaną będą dzieci".

Najwięcej jednak może dokonano przez podniesienie stopy życiowej robotnika, dając mu możność lepszego zarobkowania. Ta cała działalność społeczna oparta jest na doktrynie tzw. justisjalizmu. Doktryna ta jest jednym z najdonioślejszych elementów peronizmu i przeznaczona jest także i na „eksport".

Peronistyczna nowa Argentyna ma być także i „gospodarczo niezależna". W tej dziedzinie peronizm zrobił bardzo dużo. Nie jest dla nikogo tajemnicą fakt ogromnej zależności gospodarczej krajów Ameryki Południowej od innych państw, a zwłaszcza od Stanów Zjednoczonych i Anglii. Zależność ta wynika z faktu, że kraje Ameryki Południowej nie są gospodarczo samowystarczalne, a przy tym są na ogół gospodarczo zacofane. Tak się składa, że prawie wszystkie kraje Ameryki Południowej nie mają danych na to, aby stać się choć w części gospodarczo samowystarczalne. Prawie każdy z tych krajów posiada jakieś wielkie bogactwa naturalne, ale mając jedne z nich, pozbawiony jest innych. Wenezuela ma naftę, Chile saletrę i miedź, Peru guano i rudy, Brazylia kawę i bawełnę, Argentyna mięso i zboże itd. Każdy z tych krajów jest tylko jednostronnie bogaty, a co więcej jest to bogactwo względne, gdyż produkcja danego surowca jest uzależniona od odbiorcy. Dziś głównym odbiorcą tych krajów są Anglosasi. Dlatego też zagadnienie anglosaskie jest bardzo drażliwe w Ameryce Południowej.

Polityka gospodarcza Perona idzie w kierunku uniezależnienia ekonomicznego Argentyny. Przez scentralizowanie i zmonopolizowanie w rękach rządu głównych gałęzi eksportu, Peron wyrwał inicjatywie prywatnej handel zagraniczny. W rękach prywatnych została produkcja, ale jej kierowaniem (planowaniem), a także i zbytem produktów (handel zagraniczny) zajął się rząd. Umiejętnie wygrywając trudności gospodarcze świata powojennego oraz rywalizację Rosji z Anglosasami, Peron usiłuje uniezależnić Argentynę gospodarczo. Kładzie się ogromny nacisk na rozwój przemysłu krajowego i na wielostronność gospodarczą. Cała ta polityka gospodarcza Perona opiera się na doktrynie tzw. „trzeciej drogi".

Z zagadnieniem gospodarczym jest związane zagadnienie polityczne, które Peron ujmuje w haśle walki o „suwerenność polityczną". Zależność bowiem gospodarcza Argentyny od Anglosasów znalazła swoje odbicie również i w dziedzinie zależności politycznej. Znany jest program polityczny Stanów Zjednoczonych dla Ameryki Południowej, sformułowany w tzw. panamerykanizmie. Peronizm jest, rzecz oczywista, przeciwny panamerykanizmowi, jeśli przez ten ostatni rozumieć ekspansję polityczno-gospodarczą Stanów. Zresztą, jak już o tym była mowa, peronizm ma własne ambicje ekspansywne, chciałby, aby Argentyna odgrywała rolę przodującą w Ameryce Południowej i aby w oparciu o pozostałe państwa południowo-amerykańskie, prowadziła w świecie politykę tzw. „trzeciej si-

ły". Peronizm uważa, że zarówno kapitalizm jak i komunizm skazane są na zagładę i że walka na śmierć i życie kapitalizmu z komunizmem doprowadzi do starcia zbrojnego Stanów Zjednoczonych z Rosją. W tej walce dwóch wrogich sobie i reszcie świata obozów, Argentyna, łącznie z państwami południowo-amerykańskimi, ma odgrywać rolę „trzeciej siły", zajmując „trzecią pozycję", tj. nie angażując się w wojnę anglosasko-rosyjską, a to po to, aby na gruzach świata zniszczonego nową wojną powszechną zbudować nową cywilizację „justisjalistyczną". Stąd własna polityka zagraniczna Perona, polityka gry między Rosją a Stanami Zjednoczonymi, między światem komunizmu i kapitalizmu. Peron nie chce się angażować w żadnym z tych obozów. Jeśli walczy z komunizmem, to tylko na terenie Argentyny, a jeśli z nim walczy także i na arenie międzynarodowej to jako z konkurentem w walce o zdobycie rządu dusz wszystkich ludów całego świata, ale do walki „demokracji" z komunizmem nie przykłada ręki. Utrzymuje stosunki gospodarcze i polityczne z obydwoma obozami, ale baczy, aby Argentyna nie dała się wciągnąć do któregoś z nich, czy też w jakiś sposób uzależnić. Wydaje się, że z tych ambicji Perona politycy na ogół nie zdają sobie sprawy i że je lekceważą.

Z punktu widzenia prawa politycznego, peronizm jest systemem rządów „autorytatywnych", zamaskowanych pozorem demokracji parlamentarnej. W dzisiejszej Argentynie są różne partie polityczne, istnieje parlament itd., ale faktyczny układ stosunków, wytworzony przez Perona, jest taki, że całkowicie uniemożliwia jakiekolwiek swobodne życie polityczne. Np. w praktyce nie istnieje wolność prasy. Wszystkie pisma polityczne zostały przez rząd opanowane. Wyjątek stanowią tylko dwie gazety: „La Prensa" i „La Nacion". „La Prensa" jest obecnie brutalnie likwidowana. Wiele wskazuje na to, że „La Nacion" podzieli wkrótce jej los. Nie wydaje się też, aby to były tylko jakieś zarządzenia przedwyborcze, w celu pozbawienia opozycji głosu. Raczej można przypuszczać, że peronizm, jak wszystkie totalizmy, nigdy nie będzie tolerował niezależnej prasy. Dzisiaj także jest niesposób dostać w Argentynie prasę zagraniczną. W kioskach można najwyżej kupić niepolityczne tygodniki i miesięczniki.

Peronizm jest dyktaturą jednostki, wodza („lider" — w terminologii peronizmu). Peron dopiero teraz zaczyna organizować swoją „grupę rządzącą" i własną partię polityczną, aby dać szerszę oparcie dla swej dyktatury. Z wykładów „o wodzostwie", jakie Peron ma obecnie w Wyższej Szkole Peronistycznej, widać, że peronizm przyjął hitlerowski system wodzostwa i stara się wychować sobie całą klasę „wodzów".

Peroniści w pierwszym rzędzie opanowali aparat państwowy, następnie związki zawodowe, a obecnie (przed zbliżającym się wyborami) zaczynają organizować się w partię polityczną. Kto wie, czy nie zostanie zaprowadzony system monopartii, jeśli nie prawnie, to przynajmniej faktycznie. Otwarcie Wyższej Szkoły Peronistycznej (1 marca br.), której zadaniem jest wykształcenie elity partyjnej, wskazuje na to, że peronizm zaczyna przybierać formy organizacyjne wzorowane na monopartii komunistycznej.

Peronizm zupełnie wyraźnie wchodzi na drogę totalizmu. Widać to przede wszystkim z jego ideologii. Początkowo Peron mówił wiele o konieczności odrodzenia moralnego, o potrzebie oparcia życia politycznego na zasadach moralności chrześcijańskiej, o doniosłości wprowadzenia w życie zasad społecznych encyklik papieskich itp. Dzisiaj mówi i pisze się to samo, ale na użytek zewnętrzny, gdy zwraca się do sfer katolickich. Natomiast na kursach dla przywódców partyjnych, mówi się o potrzebie wytworzenia światopoglądu peronistycznego, o „wierze" peronizmu, o „mistyce" peronistycznej itp. Pod tym względem bardzo ważnym dokumentem jest inauguracyjny wykład gen. Perona, na otwarcie Wyższej Szkoły Peronistycznej. Nie ma tam ani słowa już o Kościele, o religii katolickiej, o moralności chrześcijańskiej, natomiast jest mowa o peronizmie jako nowej wierze, mistyce, filozofii życia, postawie życiowej, moralności. Peronizm ma swoje własne „credo", swój własny kult (Perona i Ewy). Peronizm od swoich zwolenników żąda całkowitego oddania, poświęcenia się bez reszty, aż do ofiary z życia. „Peronistą jest ten — mówił dosłownie gen. Peron — kto jest wyznawcą i apostołem peronizmu." Co to ma znaczyć, wyjaśnia przemówienie Ewy, wygłoszone w tych samych okolicznościach. „Nie pojmuję justisjalizmu bez Perona", i dalej: „gdyby lud mógł wypowiedzieć się głosem jednego człowieka, to zawołałby: dobrze, mój generale, twoja doktryna jest rzeczą wielką, ale my kochamy ciebie!" W wykładzie inauguracyjnym dyrektora szkoły, dr Raul Mendé, jest mowa „o doniosłości justisjalizmu dla odkupienia człowieka". O Ewie dr Mende mówi raz, iż „jest to jakby dusza samego Perona, która wcieliła się w nią (w Ewę), aby móc przebywać bliżej swego ludu", a innym razem znowu, że „Ewa jest wcieleniem duszy narodu". Wszystko to prowadzi do jednego wniosku: „należy kochać, czcić Perona i Ewę, a w razie potrzeby za nich i życie oddać" (cytaty dosłowne z pełnego tekstu tychże przemówień, zamieszczonego w głównym organie partii peronistycznej „Democracia", 2. 3. 1951). Czyżby Peron pozazdrościł laurów Hitlerowi i Stalinowi? Jest to już zupełnie wyraźne wejście na grząski grunt ideologii pogańskiego totalizmu. Peronizm bowiem w ujęciu swego twórcy, jest nie tylko doktryną polityczną, nie tylko ruchem społecznym, ale w sercach swych zwolenników ma zająć to miejsce, które z prawa natury przynależy tylko religii i Bogu, ma stać się wiarą, wyznaniem i ostatecznym celem życia ludzkiego.

Ta błędna mistyka peronizmu prędzej czy później musi doprowadzić do ostrego konfliktu z Kościołem. Obecnie oficjalne stosunki rządu argentyńskiego z Kościołem są jak najpoprawniejsze. Ale nie należy się łudzić. Peron liczy się z Kościołem jako z konkretną siłą, tj. jako instytucją o doniosłym wpływie w świecie i jako z wiarą ogromnej większości Argentyńczyków. Prawda, że w wielu okolicznościach Peron występuje jako gorliwy katolik. Tak np. wziął udział w kongresie eucharystycznym w Rosario (połowa października 1950 r.) i tam, publicznie, w imieniu narodu, odczytał piękną modlitwę. Można jednak przypuszczać, że była to raczej chęć zdyskontowania na swoją korzyść kongresu.

Mimo to wielu katolików argentyńskich bardzo gorliwie popiera peronizm, a to nie tylko dlatego, iż widzą, że Peron robi dużo dobrego społecznie i gospodarczo i że swą akcją w obronie robotników wytrąca broń z rąk komunistów, ale przede wszystkim i dla tej przyczyny, że — jak mówią — peronizm jest ruchem młodym, w stanie dopiero tworzenia się, doktryna i ideologia nie są jeszcze wykrystalizowane, nie wiadomo w jakim rozwiną się kierunku, wobec tego uważają za właściwe wejście w ten ruch, aby swoją obecnością zaważyć na jego charakterze. Stanowisko jednak wydaje się ryzykowne. Peronizm jest wyłącznie dziełem jednostki. Tym też przede wszystkim — z punktu widzenia socjologicznego — różni się od faszyzmu, narodowego-socjalizmu czy bolszewizmu. Ruchy totalistyczne w Europie były owocem procesów społecznych przez jakie przeszły narody europejskie w ciągu ostatnich stuleci, a przynajmniej kilku pokoleń. I chociaż osobowości przywódców tych ruchów zaważyły decydująco na ich charakterze, to jednak nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, aby faszyzm był tylko dziełem Mussoliniego, narodowy-socjalizm Hitlera, a bolszewizm Lenina. Samo istnienie podwójnych nazw doskonale uwypukla społeczny charater tych zjawisk. Nie można tego powiedzieć o peronizmie. Rozwój społeczny Argentyny, procesy socjalne, przez jakie ten kraj przeszedł i przechodzi, w niczym nie usprawiedliwiają istnienia peronizmu (najwyżej, w pewnym stopniu, usprawiedliwiają istnienie „justisjalizmu" i „trzeciej drogi"). Można przypuścić, że gdyby Peron był doszedł do władzy w Chile czy Brazylii, wytworzony tam „peronizm" istotnie nie różniłby się niczym od dzisiejszego peronizmu argentyńskiego. Peronizm to eksperyment jednostki, oczarowanej tym, co widziała w Europie.

Peronizm gra kartę nacjonalizmu, tak jak gra (do czasu) kartę moralności chrześcijańskiej, czy obrony warstwy robotniczej. Systemy totalne dyktatury są antynarodowe, krępują normalny rozwój społeczeństwa, wypaczają kierunek dziejów narodu, dając zbytni prymat interesom aktualnym kosztem przyszłości. Naród

(Dokończenie na str. 8)

WIKTOR TROŚCIANKO

DWA WIERSZE

PEJZAŻ PO WOJNIE

Usnęła wojna nad łąką.
Chłopcy strzelają z proc.
Jest znowu wiosna, ogród i noc.

Wiatr nam godziny potargał,
zdumienie zamknęło usta.
Przed nami głębokie cienie.
Za nami. . . Nie wiem co. Pustka.

Za nami zwykłe złudzenie:
zielone podróże, wiosła.
Przebyta równina grozy
wodorostami zarosła.

Niedobrze tu. Chodźmy dalej.
Przekopmy bruzdy w ugorze.
To będzie miasto — bez domów —
a tam: bezszelestne morze.

Nowej równiny bezmiar
z wiatrem co grozę rozplata.
A tutaj zrobimy sobie
na niby — koniec świata.

Nie drżyj. Wrzosy płoną
z upału. Zwyczajny pożar traw.
Obłok wiszący koroną
nad ziemią — to dym wrzosowy, nie strach.

Każdego z nas ktoś okłamał,
jak dzieci nastraszył pod progiem.
A potem — jakby ci to powiedzieć?
Napisał dramat
z prologiem i
epilogiem.

Ostrożnie, uważnie — chodźmy.
Dobry nas Boże prowadź w pogorzelisku.
Drzew parę zostało na dworze
i dzień jutrzejszy. To wszystko.

1945

KAPRYS WŁOSKI

Przyszliśmy wiosną, pieśnią czerwoną,
przypływem pulsującej krwi.
Wieczór przywitał gamą dzwonów,
skalny horyzont ściągnął brwi.

Przyszliśmy górą, dołem, górą.
Z piaszczystych sosen, z winnych gron.
Bezpieczna nazwa — Monte Sicuro,
podapeniński w niebie schron.

Odchodzisz pieśnią — bardziej czerwoną,
gdy wolno spada tętno krwi.
Na pożegnanie — gama dzwonów
i noc spod grubych, skalnych brwi.

Zostały drzewa migdałowe,
palmy, zapachy pnących róż.
Tarnina czeka nad parowem
na upał. Na śmiertelną susz.

Przepadły słowa w gwiazdozbiorach,
w rękach masz twardy, gorzki chleb.
W noc wyjdziesz któregoś wieczora,
w bezkresny, akermański step.

Drogi splątane w gordyjski węzeł
wymierzysz bólem, zmęczeniem, bezsiłą.
Pieśń nie nadąża. W drodze ugrzęzła.
A może nigdy pieśni nie było?

Odchodzisz w przeszłość górą, doliną.
Aleją morw i rzędem cyprysów.
Sam nie wiesz — pierrot z mandoliną,
czy poeta z dziecinnych wypisów.

1946

(Dokończenie ze str. 6)

to jedność pokoleń — przeszłych, teraźniejszych i przyszłych — stąd dobro narodu nigdy nie utożsamia się z dobrem tylko pokolenia żyjącego. Polityka obliczona na efekty aktualne, choćby kosztem dobra przyszłości narodu, jest antynarodowa. Peronizm niszczy i rozkłada naród argentyński. Niszczy w nim bowiem dorobek kulturalny poprzednich pokoleń, oparty na zasadach moralności chrześcijańskiej. Rozkłada społeczną strukturę narodu, dążąc do przerobienia społeczeństwa na masę (sztuczny gregaryzm). Dla peronizmu istnieje „lud", a nie naród.

Czy peronizm jest zjawiskiem przejściowym, czy też ma szanse ustabilizowania się? Wydaje się, że peronizm będzie istniał co najmniej tak długo, jak długo będzie żył Peron. O tym, żeby Peron odszedł od władzy, nie ma mowy. Niewątpliwie w zbliżających się wyborach zostanie w taki czy inny sposób ponownie „wybrany" prezydentem. Tylko ciężka choroba (a i to jest wątpliwe) mogłaby go usunąć od władzy. Ludzie typu Perona nie opuszczają władzy dobrowolnie, a w obecnym układzie stosunków argentyńskich nie widać siły politycznej, która by mogła tę władzę wyrwać, chyba, że przez zamach na życie dyktatora.

Jakie więc są pozory, a jaka rzeczywistość peronizmu? Pozornie, peronizm to młody, zdrowy, odrodzeniowy ruch narodowy, walczący o sprawiedliwość dla warstw robotniczych, o należyte miejsce dla Argentyny w rodzinie narodów, szanujący religię i wieczne przeznaczenie człowieka i pragnący przyczynić się do wytworzenia szczęśliwszej i pomyślniejszej przyszłości dla wszystkich ludzi. W rzeczywistości jest to jedna więcej dyktatura totalistyczna, naśladująca faszyzm, hitleryzm i stalinizm w etatyzmie, w tyrańskim traktowaniu człowieka, w pochłanianiu wszystkiego przez państwo-potwora, w stwarzaniu mitu szczęśliwości materialistycznej i demagogicznie dla swych celów wygrywająca szlachetniejsze strony duszy człowieka jak miłość Boga, poczucie sprawiedliwości, ukochanie ojczyzny i powszechne braterstwo ludzi. Zło dopiero w zalążku, stąd mało widoczne, ale to nie zmienia zagadnienia.

Mimo więc, że peronizm dokonał bardzo dużo dobrego, ogólna jego ocena wypada negatywnie.

JÓZEF ROKICKI

W WALCE O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ

Na pewno nie będzie grzechem w stosunku do wypadków historycznych, a zwłaszcza tych, których bohaterami są pokolenia współczesne, jeżeli pisząc o nich zachowamy bezstronność i umiar.

Uwaga powyższa odnosi się do studium, obejmującego 972 strony, opracowanego przez Komisję Polskiego Sztabu w Londynie (tom 3), pod tytułem „Armia Krajowa", a którego współautorami są uczestnicy, a nawet wyżsi oficerowie AK.

Jako żołnierz Armii Podziemnej od chwili tworzenia jej zrębów, a od połowy r. 1941 do końca powstania jako Komendant Główny NOW byłem w ciągu 5 lat czynnym świadkiem wysiłku polskiego w jego ostrej walce z najeźdźcą. Z tego względu mam do zarzucenia wiele autorom omawianej pracy, jeśli chodzi o ich stosunek do NOW, jako do jednej z najliczniejszych części składowych Armii Krajowej. Ponieważ jednak na temat ten wypowiadałem się już w mej książce „Blaski i cienie bohaterskiego pięciolecia", w niniejszym szkicu ograniczam się do omówienia tych tylko fragmentów książki, które dotyczą obrony Mokotowa. Przebieg tej walki przedstawiony jest bowiem w pracy pod tytułem „Armia Krajowa" w sposób budzący wiele zastrzeżeń.

ZADANIE DOWÓDCY MOKOTOWA

Jeżeli przyszły historyk, który badać będzie dzieje powstania, zechce odtworzyć m. in. zadanie, jakie otrzymał dowódca Mokotowa — Karol od swego przełożonego gen. Chruściela, to napotka na duże trudności, sam autor zadania bowiem w ogłaszanych na łamach prasy enuncjacjach, ujmował to zadanie rozmaicie.

W tygodniku „Polska Walcząca" z 9. 3. 1946 r. jest mowa m. in. o konieczności „utrzymania rejonu Lasu Kabackiego, rozpoznawania w stronę Lasów Chojnowskich i Nadarzyńskich". W ten sposób sformułowany fragment mego zadania staje się fantazją, bowiem Mokotów analogicznie jak Śródmieście lub Starówka, był wyspą otoczoną przez Niemcy i z racji mizernego uzbrojenia wojska powstańczego, chroniącego się za murami domów, nie mógł prowadzić walki z Niemcami w otwartym polu. Zresztą Las Kabacki dzieliła od południowego skraju Mokotowa przestrzeń 5 km, a Chojnowski 20 km. Moim zdaniem nie można utrzymać tego, czego się nie posiada. Również niezrozumiałe jest, w jakim celu wtłoczone tu są Lasy Nadarzyńskie?

W omawianej pracy natomiast powyższy fragment zadania posiada brzmienie zgoła inne, mianowicie: „Karol otrzymał zadanie: ...3) osłony placówek odbiorczych w Lesie Kabackim i w Lasach Chojnowskich i zorganizowania transportu uzbrojenia, otrzymanego ze zrzutów".

Wprawdzie nie ma tu już mowy o utrzymaniu Lasu Kabackiego, ani o zadaniach rozpoznawczych w kierunku Lasów Chojnowskich i Nadarzyńskich, lecz poza osłoną placówek odbiorczych, w ciągu 6 lat przeżuwania tematu, zjawiło się coś, o czym dotąd nie było mowy, a mianowicie „zorganizowanie transportu uzbrojenia".

23 sierpnia penetrując osobiście Las Kabacki nie znalazłem tam nikogo, a w Lasach Chojnowskich była kompania kpt. Dakowskiego, wykonywująca zadanie osłony pola zrzutowego. W owym czasie kompania ta broni na eksport jeszcze nie posiadała, lecz gdyby nawet rozporządzała magazynem broni, to nie wróżyłbym powodzenia tej akcji, ponieważ w tym czasie Niemcy niepodzielnie panowali na przestrzeni między Lasami Chojnowskimi a Mokotowem, a przenikanie w mury Warszawy, choćby tylko jednostek, było przedsięwzięciem ryzykownym.

„Osłona placówek odbiorczych w Lesie Kabackim i w Lasach Chojnowskich" — mówią autorzy książki. Ale kim? Chyba nie myślą o wyrwaniu dla tego celu baonu z obrony Mokotowa i zadyrygowaniu go do lasów? Pozostaną więc tylko złudne nadzieje na wyimaginowane oddziały powstańcze, które rzekomo miały być w lasach do dyspozycji dowódcy powstania.

Podkomisja Historyczna AK zna istotny stan rzeczy w lasach, lecz w tym wypadku zdecydowała się nie korzystać z materiałów prawdziwych. Rzeczywiste zadanie dowódcy Mokotowa zostało tendencyjnie przemilczane, a mianowicie po przybyciu na Mokotów zadaniem moim było bezzwłocznie udać się do Lasów Kabackich i Chojnowskich, gdzie według informacji płk Chruściela miały biwakować oddziały powstańcze w sile 6.000 żołnierzy, a po zorganizowaniu ich i wyznaczeniu dowódców miałem prowadzić natarcie w kierunku Warszawy. Dziś nie jest już tajemnicą, że wojska powstańczego w lasach nie było, a informacje płk Chruściela były błędne.

Po stwierdzeniu pustki w lasach nie pozostało mi nic innego, jak przedzieranie się przez linie niemieckie z powrotem do Warszawy, dokąd wzywały mnie obowiązki dowódcy NOW. To pierwszy przykład nieścisłości, tym bardziej wymowny, że odnoszący się do dowódcy osobiście i politycznie niemiłego.

WSPÓŁDZIAŁANIE GÓRNEGO CZERNIAKOWA

Omawiając przedsięwziętą przeze mnie próbę połączenia Czerniakowa Dolnego z Czerniakowem Górnym na str. 769 autorzy mówią:

„...Od północy z Czerniakowa G. współdziałał baon kpt. Kryski, od południa natarcie wykonywały 2 baony z Mokotowa. Mimo dwóch kolejnych uderzeń w nocy z 27 na 28 i w nocy z 28 na 29 sierpnia akcja się nie powiodła. Oddziały Mokotowa zdobyły jedynie północną część Czerniakowa Dolnego... obsadziły zdobyty teren wzdłuż ulic Nowosieleckiej, Podchorążych" itd.

Optymistyczne zapewnienie współ-

działania baonu kpt. Kryski nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a poza tym napotykamy tu na wybitne pomniejszanie sukcesów żołnierzy dzielnicy mokotowskiej. Bo gdy w ciągu dwóch nocy oddziały mokotowskie w walce ulicznej zdobyły 1 km umocnionego terenu, co stanowi bodaj największe osiągnięcie w całym powstaniu, to oddziały kpt. Kryski, mające współdziałać z rejonu Stacji Pomp w kierunku południowym, nie posunęły się naprzód ani o jeden metr. Samo zaś współdziałanie ich polegało na tym, że o pewnej godzinie nocnej, zsynchronizowanej z początkiem natarcia oddziałów mokotowskich, na linii placówek Górnego Czerniakowa, otwarto ogień z karabinów i pistoletów oraz rzucono kilkanaście granatów ręcznych. Dziś nie wiemy jeszcze, jakie rozkazy otrzymał w tej sprawie kpt. Kryska, lecz wiemy dokładnie, jakie było wykonanie nakazanego współdziałania. W Śródmieściu, gdy np. zdobyto jeden budynek, wszystkie komórki propagandowe odtrąbiły wielkie zwycięstwo, na Mokotowie zaś nie wystarczyło zdobycie kilometra budynków, aby żołnierze otrzymali choć jedno odznaczenie. Gorzej, bo po kilku latach mówią im, że ich akcja „nie powiodła się".

Dnia 25. 9. byłem ranny odłamkami granatu w głowę i kontuzjowany, następstwem czego był duży upływ krwi. W przypadku innych dowódców powstania praca o AK fakty takie skrzętnie notuje.

EWAKUACJA MOKOTOWA

Na temat reakcji gen. Chruściela na moją decyzję w sprawie wycofania resztek wojska kanałami, czytamy w omawianej pracy, że generał „uznał ją za nieuzasadnioną, sprzeciwił się jej wykonaniu i zażądał aby Mokotów bronił się dalej.

Rozkaz dowódcy okręgu dotarł do płk Karola w chwili, gdy był on już w drodze do Śródmieścia".

Uważam nadal, że miałem prawo powziąć taką decyzję, jaką po przeprowadzeniu wszystkich analiz, uważałem za najkorzystniejszą dla wojska i ludności, a generał miał również prawo nie zgodzić się z nią. Tym niemniej rozkaz byłby wykonany bez względu na następstwa i straty, gdybym go otrzymał na czas. Decyzję swoją zameldowałem przez radio o godz. 9 dnia 26 września, a rozkaz anulujący tę decyzję cdebrałem w kanale 27 września o godz. 6 pod ulicą Górnośląską.

Gdybym w tym czasie przebywał jeszcze na Mokotowie, to oficer łącznikowy dotarłby do mnie zapewne o godz. 8 minut 30 lub 9, czyli po upływie 24 godzin od chwili mego meldunku. Do tej pory zupełnie nie wyjaśnione jest dlaczego mej decyzji nie zmieniono bezpośrednio po jej otrzymaniu, choć dowódcy powstania zameldowałem, że do wykonania jej przystępuję wieczorem. A wreszcie dlaczego nie skorzystano z łączności radiowej czy kurierskiej, lecz dopiero nazajutrz wysłano oddział łącznikowy?

Nacisk wroga w przeciągu ostatnich 3 dni gwałtownie wzrósł na wszystkich odcinkach, łatwo więc zrozumieć, że dowódca Mokotowa stanął przed najtrudniejszym dla dowódcy w czasie wojny dylematem: bronić terenu do ostatniego domu bez względu na wysokość strat wśród ludności cywilnej czy też ratować ją próbując wycofania żołnierzy na inny odcinek walki — do Śródmieścia.

Przyjąłem to drugie rozwiązanie.

WEJŚCIE DO KANAŁU

Na str. 784 czytamy: „Po osobistym dopilnowaniu ewakuacji lekko rannych, części urzędników administracji cywilnej i luźnych oddziałów żołnierzy, nie biorących bezpośredniego udziału w walce, płk Karol opuścił około godz. 22 ze swoim sztabem Mokotów, wycofując się do Śródmieścia".

Wobec tego wypada mi wyliczyć: poza zespołami sztabu, propagandy, intendentury, sądu, prokuratury, były to oddziały ze wschodniego odcinka Mokotowa (nie wszystkie), które prowadził rtm. Garda, oddziały Radosława, pod jego dowództwem, szwadron szwoleżerów (100 żołnierzy, 60 żołnierzy tego szwadronu pozostało na Mokotowie jako osłona swego odcinka) i wreszcie do Śródmieścia przybyła kompania łączności z Baszty. Stwierdzam, że na Mokotowie nie było oddziałów ani żołnierzy nie biorących bezpośredniego udziału w walce, pomijając już powszechne zagrożenie przez lotnictwo i artylerię.

Na str. 785 mówi się, że do niewoli niemieckiej dostało się na Mokotowie 1.000 żołnierzy. Pomyłka o 200 żołnierzy, ponieważ Niemcy naliczyli mniej niż 800. Cyfrę 800 podał mi mjr Zryw w obozie niemieckim i potwierdził mi ją jeszcze w Brukseli w r. 1946. Według raportów oddziałów, stany wojska na Mokotowie w dniu 26 września wynosiły około 1.600 żołnierzy, z których połowa dotarła do Śródmieścia. Pewne oddziały z liczby pozostałych na Mokotowie znalazły się również w kanale, lecz wskutek przeciwdziałania Niemców w kanałach albo wróciły z powrotem na Mokotów albo wyszły na zewnątrz i zostały wzięte do niewoli.

Sztab Mokotowa wszedł do kanału o godz. 23 minut 15, a nie około godz. 22 jak mówi praca Komisji Historycznej.

UKRAIŃCY I WĘGRZY

Ważne są nie tylko przeinaczenia, lecz i przemilczenia.

Moim zdaniem na dokładny opis zasługują rozmowy polityczne, prowadzone z ramienia sztabu AK z Ukraińcami oraz bezpośrednie nasze kontakty w czasie powstania z Węgrami.

Rozmowy polityczne przedstawicieli sztabu AK z grupą Bandery wywołały istną burzę w naszym społeczeństwie i jako takie — mimo fałszywej koncepcji i karkołomnej myśli przewodniej — winny znaleźć się w historii AK.

Koncepcja ta była niefortunnym echem przedwojennej polityki wobec Ukraińców, oscylującej między dwiema skrajnościami. Polityka ta oczywiście zbierała owoce w czasie okupacji niemieckiej, kiedy to Ukraińcy wspólnie z Niemcami dopuszczali się masowych okrucieństw na ludności polskiej. Dlatego też pertraktacje z grupą Bandery spaliły na panewce.

Wspomnienia natomiast węgierskie powinny znaleźć swe miejsce w historii AK z innych przyczyn. Stosunki polsko-węgierskie w ostatniej wojnie były na prawdę przyjazne i nie widzę powodu, aby powszechnie znane fakty trzeba było zatajać. Chodzi mi o stosunek Węgrów do naszych żołnierzy w czasie powstania, czego byłem świadkiem. Po moim przybyciu na Mokotów (22 sierpnia) pewien odcinek na zachodnim brzegu Wisły w pobliżu Sadyby na Mokotowie zajmowała węgierska dywizja piechoty i w każdej chwili, nawet mimo naszej woli, mogło grozić nawiązanie styczności ogniowej oddziałów mokotowskich z tyłami tej dywizji. Po kilku dniach dowiedziałem się, że dywizja węgierska otrzymała od dowódcy armii niemieckiej rozkaz zwalczania oddziałów powstańczych, na co dowódca dywizji bez wahania odpowiedział, że Węgrzy z Polakami nigdy walczyć nie będą.

Po tym incydencie (około 25 sierpnia) dywizja węgierska została zluzowana przez dywizję niemiecką. W tym czasie za zezwoleniem gen. Bora nawiązałem łączność z dowódcą 5 korpusu węgierskiego w Zalesiu przez delegowanych z Mokotowa kilku oficerów pod przewodnictwem ppłk dra Jana, por. Pragłowskiego i jeszcze dwóch innych oficerów. Z dowódcą korpusu prowadziłem rozmowy o przydział broni i amunicji, a nawet o przejście całego korpusu na naszą stronę. W rozmowach końcowych dowódca korpusu zastrzegł się, że musi na to uzyskać zgodę Horthyego i w tym celu zwrócił się do niego przez radio. Ścisła blokada Mokotowa przez Niemców uniemożliwiła delegacji łączność ze mną i dalsze prowadzenie rozmów.

* * *

Zająłem uwagę czytelników tylko najważniejszymi nieścisłościami z jednego okresu powstania i to dotyczącymi tylko Mokotowa. A przecież autorzy omawianego dzieła mieli do dyspozycji nie tylko własny materiał dokumentarny. Mieli również opracowania poszczególnych dowódców — w danym wypadku i dowódcy Mokotowa — których ścisłość mogli bez trudu sprawdzić. Tego materiału nie zużytkowoli.

Dzieło wydane z wielkim nakładem pracy i środków technicznych, zakrojone na wielką skalę, przedstawiające się imponująco od strony zewnętrznej, to nie broszura czy artykuł dziennikarski, któremu łatwiej można wybaczyć stronniczość. Skoro bezstronności zabrakło, książka pt. „Armia Krajowa" nie może być uważana za pełnowartościowy dokument, ani za takie dzieło historyczne, z którego by przyszłe pokolenia mogły korzystać z pełnym zaufaniem.

PAWEŁ CHĘCIAK

WSPOMNIENIA GEN. GUDERIANA — 3)

POWSTANIE WARSZAWSKIE

O POWSTANIU warszawskim pisze Guderian na niecałych czterech stronach (str. 322 — 325). Zajmuje się nim dlatego, że był w tym czasie szefem sztabu wojsk lądowych na wschodzie, wydarzenie więc tak głośne nie mogło ujść jego uwadze. A poza tym na temat powstania zeznawał w czasie procesu norymberskiego[1] i tę część jego zeznań cytują zarówno gen. Bór-Komorowski[2] jak i autorzy III tomu „Polskich Sił Zbrojnych"[3].

Zagadnienie powstania jest nie tylko bardzo obszerne i skomplikowane, ale i bardzo kontrowersyjne — nawet w środowisku polskim. Nie wszystko jeszcze zostało w tej sprawie ogłoszone i wątpić należy, czy kiedykolwiek ogłoszone zostanie. Dlatego każdy przyczynek należy skrzętnie notować i dlatego informacje Guderiana o powstaniu, chociaż dość ogólnikowe, mają także wartość dokumentarną.

Guderian pisze, że powstanie, które wybuchło bezpośrednio za frontem, stworzyło bardzo niebezpieczną sytuację i to w chwili, gdy trwały jeszcze ciężkie walki na lewym skrzydle niemieckim frontu „Północ" na linii: Mitawa — Dynaburg — Psków i gdy właśnie udało się gen. Modelowi ustabilizować linię frontu na wschód od Warszawy. Przerwane zostało połączenie z 9 armią gen. v. Vormanna, która znajdowała się na lewym brzegu Wisły na odcinku od ujścia Bugu do Pilicy. Powstała możliwość rychłego współdziałania Rosjan z polskimi powstańcami. Prosił więc o włączenie Warszawy do strefy operacyjnej wojska, lecz zazdrość generalnego gubernatora Franka i Himmlera zwyciężyły u Hitlera, który, mimo iż Warszawa leżała tuż za a nawet w strefie frontowej, oddał ją pod władzę Franka. Stłumienie powstania powierzono Himmlerowi, który z kolei przekazał to zadanie gen. por. policji Erichowi v. dem Bach-Żelewskiemu[4]. Walka toczyła się przez szereg tygodni z wielką zaciętością. Oddziały SS, nie należące do wojsk SS (Waffen SS) lecz do formacji specjalnych (formacje partyjne SS, SD i SA), nie przestrzegały często dyscypliny żołnierskiej. Brygada Kamińskiego składała się z b. jeńców, głównie Rosjan, nieprzychylnych Polakom. Brygada Dirlewangera składała się z niemieckich przestępców kryminalnych, którzy mieli się na froncie rehabilitować. Moralność tych wątpliwych elementów zawiodła całkowicie z chwilą, gdy w walkach o każdy dom i ulicę toczyły się bezlitosne zmagania o własne życie. Sam v. dem Bach opowiadał Guderianowi w jego kwaterze o wykroczeniach swoich podkomendnych, nad którymi nie był w stanie panować. „Włosy dębem mi stanęły — mówi Guderian — gdy usłyszałem o tym wszystkim. Jeszcze tego samego wieczoru powtórzyłem wszystko Hitlerowi i zażądałem przeniesienia obydwóch brygad z frontu wschodniego. Hitler nie chciał się na to zgodzić. Dopiero gdy Fegelein[5] potwierdził moje słowa: „Jawohl, mein Führer — to są rzeczywiście łajdaki", zgodzono się na mój projekt. Gen. v. dem Bach kazał jednak zawczasu Kamińskiego rozstrzelać, usuwając tym samym niewygodnego świadka."

W czasie pobytu w więzieniu (w 1946 r.) oceniał Guderian powstanie „jako sprawę małej wagi" i zaledwie „jako jeden z epizodów w ramach okropnego naszego położenia na froncie wschodnim"[6]. W książce natomiast pisze o nim jako o bardzo istotnym wydarzeniu i dlatego zapewne poświęca mu więcej miejsca.

Guderian wymienia nazwiska dwóch słynnych zbrodniarzy: Dirlewangera i Kamińskiego, odpowiedzialnych bezpośrednio za straszliwe okrucieństwa popełniane w Warszawie. Rzecz dziwna, że ani jeden z nich nie znajduje się na liście zbrodniarzy wojennych, jaką 3 września przekazano do Londynu[7]. Istnieje wersja, że wywiad nasz sądził początkowo, że nazwisko Dirlewangera jest po prostu nazwą oddziału[8]. Osławiona brygada Dirlewangera składała się z recydywistów kryminalnych. Jak zeznaje v. dem Bach[9] „...Podczas powstania warszawskiego oceniam skład tej brygady następująco: drobna warstwa kierownicza 5% może, złożona z osób dotychczas niekaranych, następnie niemieccy przestępcy około 50%, reszta Volksdeutsche i dezerterzy z innych armii".

Szef sztabu v. dem Bacha, gen. mjr policji Ernest Rode mówi o brygadzie Dirlewangera, że „była to raczej gromada świń aniżeli żołnierze ...kogokolwiek można było wcielić wcielano, byleby był przestępcą. Słyszałem to od samego Dirlewangera". Na podstawie rozkazu otrzymanego od Himmlera „Dirlewanger posiadał wszelkie pełnomocnictwa i był upoważniony zabijać kogo zechce, według swego upodobania".

V. dem Bach podaje takie szczegółowe informacje o Kamińskim, którego brygada składała się z 2.500 ludzi: „Urodził się w Poznaniu, sam siebie nazywał Rosjaninem, opowiadał, że matka jego była Niemką a ojciec Polakiem. On sam mieszkał w Leningradzie... Po pierwszej wojnie światowej musiał z jakichś powodów zawędrować do Leningradu i tam stał się Rosjaninem. Jako rosyjski kapitan rezerwy dostał się do niewoli niemieckiej w rejonie Orła i stamtąd przyjęto go do armii niemieckiej. Chciał zostać współzawodnikiem Własowa. Jego ideologia była czymś w rodzaju rosyjskiego nazizmu". Gen. Bór-Komorowski pisze o brygadzie Kamińskiego, że składała się z osobników „zupełnie dzikich i pozbawionych jakichkolwiek ludzkich instynktów". W późniejszej fazie walki brygada Kamińskiego została zluzowana a Kamiński postawiony przed sąd wojenny, który skazał go na śmierć. „Sam widziałem — zeznaje v. dem Bach — wóz napełniony po brzegi skradzionymi rzeczami wartościowymi, złotymi zegarkami, brylantami. On (Kamiński) miał pełne walizy srebra, złota i brylantów... Egzekucja tego człowieka była trzymana w tajemnicy przed władzami przełożonymi... Ludzie Kamińskiego otoczyli moją kwaterę i uzbrojeni w ciężkie karabiny maszynowe domagali się siłą zwolnienia Kamińskiego... Zacząłem z nimi pertraktować i powiedziałem im, że Kamiński pojechał do Krakowa i wróci do nich następnego dnia."

Cytujemy te części zeznań v. dem Bacha i gen. Rode, ażeby uwypuklić nieścisłości, jakie znajdujemy u Guderiana. Guderian bowiem pisze, że jak tylko usłyszał o zbrodniach band Dirlewangera i Kamińskiego pobiegł czym prędzej do Hitlera i żądał wycofania tych brygad. Według v. dem Bacha i gen. Rode rzecz wyglądała następująco:

„...Poza Himmlerem i Hitlerem oczywiście jest odpowiedzialny — z

---

[1]) „Zburzenie Warszawy", opracowanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, 1946.

[2]) Gen. Bór-Komorowski, „The Secret Army".

[3]) „Polskie Siły Zbrojne", tom III, „Armia Krajowa".

[4]) Von dem Bach przybył do Warszawy 15 sierpnia z zadaniem „zdławienia powstania warszawskiego". Pochodził z junkrów pruskich, którzy osiedlili się w majątku Żelewo pod Wejherowem na Pomorzu. Znany z okrucieństwa i bezwzględności, specjalista od likwidowania partyzantki. Sąd denazyfikacyjny w Niemczech zaliczył go do grupy głównych winowajców i skazał w kwietniu 1951 r. na 10 lat obozu pracy.

[5]) SS Brigadenführer Fegelein był stałym zastępcą Himmlera i łącznikiem jego w kwaterze Hitlera. Obok Bormanna należał do najbardziej zaufanych zauszników Hitlera w najgorszym tego słowa znaczeniu. A że był szwagrem Hitlera, bo ożenił się z siostrą Ewy Braun, żony Hitlera, tym bardziej więc wykorzystywał swoje stanowisko.

[6]) „Zburzenie Warszawy".

[7]) Andrzej Pomian, „The Warsaw Rising".

[8]) Potwierdzenie tego znajdujemy w książce Andrzeja Pomiana „Powstanie warszawskie". Nie było jednostki SS „Dirlewanger" czy brygady SS „Dirlewanger", tzn. brygady imienia Dirlewangera a tylko brygada SS pod dowództwem SS Oberführera Dirlewangera.

[9]) „Zburzenie Warszawy".

punktu widzenia wojskowego... za odkomenderowanie takich jednostek ...główny doradca Hitlera w owym czasie, gen. płk. Guderian.

Prokurator: Czy powiedział pan przez to, że Guderian protestował?

Bach: Nie. Powinien był protestować przeciwko temu.

Prokurator: A czy protestował?

Bach: Przyznać muszę, że nic nie wiem o tym, aby protestował".

A dalej stwierdza Bach: „Kamiński był podporządkowany Guderianowi, a Guderian był szefem sztabu wojsk na wschodzie".

I wreszcie zacytujemy najistotniejszą część zeznań gen. Rode, które zadają całkowity kłam temu, co Guderian pisze z taką typową zawsze pewnością siebie o swoich zasługach i „odważnych" wystąpieniach wobec Hitlera:

„Poszliśmy wtedy z Bachem (gdy nie można było dać rady ani Dirlewangerowi i Kamińskiemu) do Guderiana i prosiliśmy go, by zechciał uzyskać u Führera uchylenie rozkazu o zniszczeniu Warszawy... Chcieliśmy uzyskać u Guderiana, by za jego wstawiennictwem Führer cofnął rozkaz. Guderian jednak wręcz odmówił jakiegokolwiek pośrednictwa w tej sprawie. Powiedział nam, że jest to wyraźny rozkaz Führera i jego cofnięcie będzie niemożliwe. Zresztą nie chciał w ogóle tym się zająć i bał się odpowiedzialności za wstawiennictwo. Bach próbował jeszcze kilkakrotnie nakłonić go do tego, zawsze jednak bezskutecznie. Wobec tego opuściliśmy kwaterę Guderiana". Na zapytanie prokuratora, czy żadne względy natury moralnej nie przemówiły do niego, odpowiedź brzmiała: „Nie, do Guderiana nigdy, ponieważ był zbyt pod wpływem samego Hitlera. Guderian doszedł do władzy ponownie po 20 lipca. Zbytnio był związany z głównym dowództwem".

Przesłuchany w tym czasie (29 stycznia 1946 r.) z więzienia Guderian tłumaczy się wobec prokuratora bardzo ogólnikowo. Gdy prokurator powołał się na zeznania „pańskiego kolegi v. dem Bacha" Guderian żachnął się i zawołał: „To nie jest mój kolega". O zbrodniach Dirlewangera i Kamińskiego dowiedział się po raz pierwszy rzekomo „w połowie września, lecz trudno mi to teraz dokładnie przypomnieć sobie", choć z całą pewnością przypuszczać można, że o zbrodniach tych musiał wiedzieć znacznie wcześniej na podstawie codziennych szczegółowych raportów i zdjęć fotograficznych z Warszawy oglądanych z Hitlerem. O wydanym w pierwszych dniach sierpnia „rozkazie zrównania miasta z ziemią słyszałem od samego Hitlera", lecz była to jedynie „przenośnia w czasie dyskusji". Że Guderian rozumiał „przenośnię" tę jako wyraźny rozkaz, wynika choćby z pamiętników Franka, który już 3 sierpnia 1944 r. zanotował m. in.: „Guderian oświadczył generalnemu gubernatorowi, iż... z całą bezwzględnością zostanie wydany werdykt na to miasto... Guderian zawiadomił generalnego gubernatora Franka, że Führer jest stanowczo zdecydowany zdławić powstanie w Warszawie wszelkimi możliwymi środkami".

Guderian cytuje również słynny rozkaz nr 2 o zniszczeniu Warszawy. O rozkazie tym dowiedział się rzekomo po raz pierwszy w więzieniu w Norymberdze, chociaż intencje Hitlera przekazywał osobiście, on, szef sztabu, władzom administracyjnym. Rozkaz ten wydany został przez wyższe władze SS i policji z datą 11 października 1944 r. i przekazany do b. generalnego gubernatora Franka w Krakowie. Tytuł rozkazu: „Dotyczy polityki w sprawie Polski". W punkcie 2 czytamy: „Obergruppenführer von dem Bach otrzymał nowy rozkaz. Warszawę należy spacyfikować, to znaczy jeszcze w ciągu wojny zrównać z ziemią, o ile konieczności wojskowe, związane z umocnieniami nie stoją temu na przeszkodzie. Przed zburzeniem należy usunąć wszystkie surowce, tekstylia i meble. Główne zadanie spoczywa na administracji cywilnej. Powyższe podaję do wiadomości, ponieważ ten nowy rozkaz Führera o zburzeniu Warszawy ma olbrzymie znaczenie dla naszej polityki w sprawie Polski".

Rozkaz ten doszedł również do oddziałów Wehrmachtu i Guderian, szef sztabu wojsk lądowych, które rozkaz ten sumiennie wykonały, nic o tym także nie wie i nigdy nie słyszał! Dopiero po wojnie.

Dodajmy jeszcze, że gen. Okulicki, następca gen. Bora, w meldunku z ostatnich dni października o sytuacji w Warszawie pisze co następuje:

„Po kapitulacji Niemcy palą miasto, minują fabryki, szpitale, teatry. Zabierają i wywożą wszystkie kable tramwajowe, podziemne i telefoniczne. W Warszawie stacjonują oddziały policji, wojska oraz znaczne oddziały Ukraińców i Kozaków, które grabią pozostałe mienie. Pozostałe nieliczne szpitale są wywożone stopniowo na zachód. Ludności cywilnej wstęp do miasta zabroniony".

Gdy Fegelein dowiedział się, że w niewoli znajduje się gen. Bór-Komorowski, którego znał z międzynarodowych zawodów konnych, wyraził chęć zaopiekowania się nim. Wbrew przypuszczeniom Guderiana, gen. Komorowski nie miał z Fegeleinem żadnej innej styczności i jak to gen. Bór oświadczył autorowi tego szkicu, „nic mi nie jest wiadome o rzekomym zaopiekowaniu się Fegeleina moją osobą".

Z pozostałymi twierdzeniami Guderiana nie będziemy polemizowali, jakkolwiek rażąca jest nieścisłość o uderzeniu 2 sierpnia 1 polskiej armii tzw. polskich wolnych wojsk demokratycznych trzema dywizjami na odcinku: Puławy — Dęblin przez Wisłę. Nie podejmujemy również dyskusji, iż „powstanie wybuchło za wcześnie" (według oceny Niemców) i że mimo powstania nie udało się Rosjanom zdobyć Warszawy dzięki (takie przynajmniej było wrażenie dowództwa 9 armii — pisze Guderian) skutecznej obronie niemieckiej w tym rejonie.

„Często — i tym cytatem z książki Guderiana kończymy niniejszą część szkicu — stawiano pytanie, dlaczego właściwie Rosjanie, którzy wiedzieli o wybuchu powstania w Warszawie, nie udzielili swego poparcia od zewnątrz, ba, nawet zatrzymali swoje natarcie nad Wisłą. Powstańcy należeli bezwątpienia do zwolenników grupy polskiej na emigracji, których rząd znajdował się w Londynie i którzy stamtąd otrzymywali dyrektywy. Reprezentowali oni konserwatywne koła polskie orientacji zachodniej. Można by więc przypuszczać, że Rosja Sowiecka nie była zainteresowana w wzmocnieniu ich przez udane powstanie i zdobycie miasta. Prawdopodobnie Rosja chciała te argumenty oddać w ręce swoich zwolenników z obozu lubelskiego. Lecz niech to sobie załatwiają alianci między sobą. Nam wystarczyło, że natarcie rosyjskie nie przekroczyło wówczas Wisły, dzięki czemu powstała przerwa w działaniu, która pozwoliła nam złapać oddech."

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ŚP. IGNACY BALIŃSKI

W SUDBURY, we wschodniej Anglii, zmarł w wieku lat 89 Ignacy Baliński. Jakkolwiek nie można go określić mianem wielkiego polityka czy pisarza, był to jeden z wybitniejszych żyjących Polaków. Był postacią pełną wyrazu, zajmującą osobne miejsce w społeczeństwie polskim. Gdyby chcieć go koniecznie określić jakimś jednym tytułem, należałoby może użyć wyrażenia dziś już wychodzącego z użycia, a przecież pełnego w gruncie rzeczy zgoła niebanalnej treści: światły obywatel.

Szerszym rzeszom publiczności polskiej był on może znany najbardziej jako wieloletni Prezes Rady Miejskiej Warszawy, istotny reprezentant tradycji i społeczności warszawskiej, bez którego żadna większa uroczystość, żadna akcja publiczna, społeczna czy dobroczynna, nie wydawałaby się pełna. Jest też rzeczą w życiu publicznym niezwykłą, że człowiekowi, który przeżył bez mała 90 lat w ciągu całego tego okresu nikt nie stawiał nigdy najmniejszego zarzutu natury moralnej.

Ignacy Baliński piastował w ciągu swego życia najrozmaitsze godności, a co ważniejsze brał udział w tworzeniu najrozmaitszych instytucji. Był w pierwszym składzie Sądu Apelacyjnego a następnie Sądu Najwyższego w odtworzonym sądownictwie niepodległej Polski. Był redaktorem „Słowa", współpracownikiem „Tygodnika Ilustrowanego", założycielem Kasy Literackiej, jednym z założycieli Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, członkiem zarządu Macierzy Szkolnej, senatorem z ramienia Związku Ludowo-Narodowego, wreszcie na emigracji prezesem Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów.

Ignacy Baliński, wnuk Michała.

profesora Uniwersytetu Wileńskiego za czasów mickiewiczowskich, żonatego ze Śniadecką, wychował się w Nowogródczyźnie. W szkole średniej i uniwersytecie był w Warszawie, po czym studiował w Paryżu. Po ukończeniu studiów był radcą Prokuratorii Generalnej Królestwa Polskiego. Od wczesnej młodości drukować zaczął poezje najczęściej pod pseudonimem Aksel. Przekładał również poezje angielskie. Na przełomie dwóch stuleci należał do znanych postaci świata literackiego warszawskiego, był w przyjaźni z Sienkiewiczem, Prusem, Reymontem, Weisenhoffem, Zapolską, Paderewskim. Odbył szereg podróży zagranicznych i znał całą niemal Europę, gdzie posiadał szerokie znajomości jako prezes stołecznej rady miejskiej. Bliskie stosunki łączyły go z późniejszym papieżem Piusem XI, gdy ten był nuncjuszem apostolskim w Warszawie.

Jako dorobek literacki zmarłego pozostaną w pierwszym rzędzie: tom wierszy wydany w 1937 r., a zebrany z długiego okresu, i pełne szczególnego gawędziarskiego wdzięku, a zarazem dowodzące niezwykłej pamięci „Wspomnienia o Warszawie", wydane w Londynie przed czterema laty.

Śp. Ignacy Baliński był z przekonań narodowcem, a w niektórych okresach życia czynnym działaczem narodowym. Jeszcze w r. 1948 na Zjeździe Delegatów i Mężów Zaufania Stronnictwa Narodowego w Londynie zasiadał w prezydium zjazdu. Uczestnicy tego zjazdu pamiętają na pewno jak podczas odczytywania apelu poległych i zmarłych w okresie wojennym działaczy Stronnictwa, prezes Baliński opanowany wzruszeniem nie mógł powstrzymać łez.

Z przyjemnością też wspominamy, że „Myśl Polska" drukowała na swoich łamach przekłady poezji angielskiej, pióra Ignacego Balińskiego.

Ignacy Baliński był ojcem Jana, prezesa Akcji Katolickiej i Stanisława, poety. Ostatni okres przed śmiercią wypełniły Zmarłemu głównie rozpamiętywania długiego życia. Odchodził pogodny, świadomy, ufny.

Wielkich wojowników, utalentowanych polityków, natchnionych poetów, wydają nawet społeczeństwa prymitywne. Tylko naród o własnej dojrzałej cywilizacji wydaje z siebie ludzi tego pokroju, co śp. Ignacy Baliński, człowiek głębokiej i wszechstronnej kultury, nie tylko kultury umysłu, ale i kultury serca, bardzo autentyczny działacz społeczny, autentyczny człowiek pióra i w pełnym tego słowa znaczeniu świadomy i twórczy obywatel.

W. W.

Uwaga

Prenumeratorzy w Szwajcarii!

Prosimy uprzejmie o przekazywanie należności za prenumeratę bezpośrednio do administracji „Myśli Polskiej" (8, Alma Terrace, London, W.8), albo czekiem albo gotówką w dowolnej walucie listem zwykłym.

Cena rocznej prenumeraty w Szwajcarii wynosi 15 fr. szwajc.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

PO DZIESIĘCIOLECIU

Wszystkim czytelnikom, przyjaciołom pisma i zarządom, za nadesłane nam życzenia z okazji dziesięciolecia istnienia wydawnictwa, składa tą drogą serdeczne podziękowanie.

Redakcja „Myśli Polskiej"

* * *

W spisie współpracowników „Myśli Polskiej" wydrukowanym w numerze z 15 marca podaliśmy jedynie wykaz nazwisk rzeczywistych lub znanych pseudonimów, wskutek czego wiele osób zostało w nim pominiętych bez naszej winy. M. in. zwrócono nam uwagę, że nie ma w tym spisie nazwiska p. Adama Treszki, który pisywał pod pseudonimami w końcu r. 1944 i z początkiem r. 1945.

NOWY SERWIS PRASOWY

Ukazał się nowy serwis prasowy „Informacja Inwalidzka", pod redakcją E. Długoszewskiego. „Informacja Inwalidzka" ma na celu dostarczanie prasie polskiej na uchodźstwie materiałów o sytuacji inwalidów i informowanie o ich potrzebach.

Wydawcą „Inf. Inw." jest Związek Inwalidów Wojennych PSZ, 100, Netherwood Road, London, W. 14.

POMÓŻMY INWALIDOM

Obserwując przebieg emigracji DP-sów z Niemiec do Stanów Zjednoczonych widzimy, że wyjeżdżają prawie wyłącznie ludzie zdrowi. A przecież na terenie Niemiec znajdują się setki inwalidów, którzy mimo swego kalectwa nadają się zupełnie dobrze do pracy, nawet fizycznej, byle odpowiedniej do ich możliwości. Czyż nie jest naszym obowiązkiem zająć się ich sprowadzeniem, wyszukać im właściwą pracę, pomóc w urządzeniu się?

Jeżeli ktoś spośród DP-sów potrzebuje przede wszystkim pomocy i opieki ze strony Polonii, to właśnie oni, inwalidzi. Niechże więc każdy z nas postawi sobie za cel wyszukać pracę odpowiednią dla inwalidy, znaleźć go i sprowadzić. Pomyślmy tylko, jaki los go czeka, jeśli pozostanie na łasce Niemców, bez pracy i bez przyjaciół, którym udało się wyemigrować.

Niezdolnymi zupełnie do pracy zajmie się na stałe IRO i inne, do tego celu powołane instytucje. Tylko tymi lżej rannymi nikt zająć się nie chce. IRO uważa — i słusznie — że są zdolni do pracy, a komisje wybierają na wyjazd przede wszystkim zdrowych. Grozi im więc zmarnowanie w obozach w Niemczech, podczas gdy mogliby przydać się w produktywnej pracy.

Oczywiście trudno będzie każdemu z nas załatwić wszystko na własną rękę. Wystarczy, jeśli znajdziemy odpowiednią pracę i sponsora i podamy te dane Delegatowi Związku Inwalidów Wojennych PSZ w Niemczech, red. C. Tarnowskiemu, (23), Quakenbrück, Germany, British Zone. Delegat Związku ma ewidencję tamtejszych inwalidów i potrafi wskazać najodpowiedniejszych do danej pracy.

Tak więc niewielkim wysiłkiem z naszej strony dopomożemy rozwiązać palący problem emigracji inwalidów z Niemiec, spełnimy nie tylko dobry uczynek, ale i obowiązek każdego Polaka — pomocy tym, którzy dla Polski przelali swą krew. **(Inf. Inw.)**

MIĘDZYNARODOWE STOWARZYSZENIE ARTYSTÓW

W Stanach Zjednoczonych został powołany do życia Komitet Organizacyjny Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów Polskich, Czechosłowackich, Węgierskich, Rumuńskich, Jugosłowiańskich i Bułgarskich na emigracji. Komitet postanowił zorganizować w Nowym Jorku wystawę z chwilą gdy Stowarzyszenie Artystów zostanie powołane do życia. Podobne wystawy będą zorganizowane we wszystkich głównych ośrodkach kulturalnych zachodniej półkuli. Następnym zadaniem jest zdobywanie stypendiów artystom, którzy znaleźli się na emigracji.

Komitet zwraca się do wszystkich polskich, czechosłowackich, węgierskich, rumuńskich, jugosłowiańskich i bułgarskich rzeźbiarzy, malarzy, artystów grafików i architektów, znajdujących się na uchodźstwie, z prośbą o nadsyłanie krótkich życiorysów (po angielsku, francusku, lub niemiecku), opisów dotychczasowych osiągnięć, fotografii prac i informacji dotyczących obecnego zajęcia na adres: Mr. Elemer K. Kezdi, 68-03, 41 Avenue, Woodside, L.I., N.Y., USA.

DO PRENUMERATORÓW W BELGII

Adres naszego przedstawiciela na Belgię p. Macieja Cybulskiego został zmieniony i brzmi obecnie jak następuje: **114, rue Souveraine, Bruxelles, Belgium.** Równocześnie przypominamy, że prenumeraty należy wpłacać na konto CCP 2889.86. Cena rocznej prenumeraty w Belgii wynosi 240 fr. belgijskich.

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.